London, 3rd March 1974

Registered at the G.P.O. as a newspaper

Cena 30p. | Dziś 6 stron

Rok XXIX nr 8 (1457)

LONDYN, 3 marca 1974

WIADOMOŚCI

Założyciel: Mieczysław Grydzewski

TYGODNIK

Redakcja i Administracja:
6 Cyran Court Street,
London WC1B 3BS
tel. 01-242 3664

Prenumerata kwartalna £3.50, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie $8.50, w Belgii 130 fr. belg., we Francji 35 fr. n., w Holandii 20 FM, w Szwajcarii 25 fr. szw., we Włoszech 4.750 lir, w innych krajach równowartość $8.50. — Zniżka ardowa 10p lub $0.25. — Czeki należy wystawiać na „Wiadomości". — Dopłata za prenumeratę lotniczą £1.25 lub $3 kwartalnie. — Ogłoszenia: 1 col × 1 szpalta £2 — 55.

ARTUR RUBINSTEIN

tłumaczył KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

Moje młode lata*)

Artur Rubinstein urodził się w Łodzi 28 czerwca 1887 roku ostatnie — po 8-letniej przerwie — dziecko w rodzinie liczącej trzech synów i trzy córki.

Z DECYDOWANO, dla jakichś, jak przypuszczam, sentymentalnych względów iż mam mieć na imię Leon, ale moji odsetkowi brat Ignaś zaprotestował gwałtownie: „Musi nazywać się Artur — zawołał Skoro Artur X (tym sąsiadów) tak ładnie gra na skrzypcach, malec może również zostać wielkim muzykiem Zostałem więc Arturem.

Mieszkaliśmy w przestronnym, słonecznym mieszkaniu w ładnym domu przy ulicy Piotrkowskiej, głównej arterii miasta. Zostałem powierzony opiece mamki Teckli, która mi była bardzo oddana jakkolwiek później, jak się dowiedziałem, złapana ja na kradzieży i poszwędrowała do więzienia. Obawiałem się później że razem z jej mlekiem wessałem coś niecoś z jej grzesznej skłonności, aczkolwiek przyszłość miała wykazać iż obawy moje były niezasadne. Wtedy niczego, w życiu nie ukradłem — przynajmniej dotychczas.

Pierwsze moje muzyczne wrażenia uformowane zostały przez pomnik z jakimś wysoko ustawionym którcrych setki budziły robotników już o szóstej rano, gdy miasto pogrążone było jeszcze w ciemnościach. Nie musiałem jednak długo czekać na przyjemniejszą muzyczną otoczę. Wkrótce zaczęław się w podwórzu naszego domu cygane, śpiewając, tańcząc ze swymi przystrojonymi małpkami do wtóru muzykanta, który przygrywał na różnych niewyjątkowych instrumentach. Przysłuchiwałem się także zawodzeniom żydowskich handlarzy starzyzną, rozpędzanym przez policjanta oraz polskich wieśniaczek zachwalających jaja, jarzyny i owoce. Ubóstwiałem te wszystkie hałasy i jakkolwiek nie nie mogło skłonić mnie do wypowiedzenia jednego słowa, bylem — oświadczyć tym samym w domu sensację — zawsze skory do naśladowania swoim głosem każdego usłyszanego dźwięku. Sensacja ta przeodziła się wkrótce w apetyt, wszyscy bowiem starali się nauczyć mnie różnych piosenek. W ten sposób zacząłem poznawać prospektu zaczynając za pomocą właściwych mi melodii.

— Kto ci dał to ciasteczko? — zaczynała moja mamka — ah, ah, ah, ah — śmiewałem w odpowiedzi.

— Wiem już, to od ciotki. Lucji Jamolskiej. Kwaśne z jabłoneczki. Śpiewaj. Pewien rodzaj ciasta, nazywa się po polsku „mazurek" i aby je dostać, zaczynałem śpiewać melodię dobrze mi znanego mazurka. Odervwałem w sposób tak wdzięczny lekki papugi przez jakieś dwa lata, kiedy zaszło ważne wydarzenie, które miało zmienić moje życie. Rodzice kupili pianino, dla moich dwóch starszych sióstr, Jadwigi i Heli, które zaczęły brać lekcje gry. Byłem siostry! Czasem, gdy siostra ćwiczyła i pomyliła się, ja to samo robiłem za nauczycielka. Pół dla do tego stopnia wstrząsnąłby pojawieniem się tego boskiego instrumentu iż salon nasz przemienił się od tej chwili dla mnie w rodzaj raju. Opierałem się krzykami i płaczem, jedynymi środkami obrony jakie mogłem używać, gdy mnie stamtąd starano się zabrać.

Właśnie wtedy moja starsza siostra będąc zaręczona, uczyła się gry na fortepianie dla nabrania większego polotu towarzyskiego. Kazde wypowiedzenie przez nią ukazy słowo, każda uwaga zrobiona przez otyłą panią Kijańską, nauczycielkę Jadwigi, miały we mnie wielkiego szego słuchacza. I co to było za zwrot! Jak wielkie, dziwne znaczenie miały te dźwięki, jak wielkie tajemnice zawarte w tej wyrzutnie czasami rękę mojej wyrośniętą postać jakiegoś osobnika

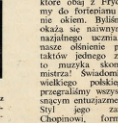

MŁODY RUBINSTEIN
(Wczesne zdjęcie ofiarowane w r. 1930 Wojciechowi Meyerowi z następującą dedykacją: „Kochanemu Wojtkowi na pamiątkę od bardzo oddanego starego przyjaciela — w dowód szczerej przyjaźni Artur Rubinstein")

żartu i pół serio nauczyłem się nazw szczególnych i zwrócony pieczem do pianina określałem tony kuzdego akordu nawet najtrudniejszego pełnego dysonansów. Odtąd stało się dla mnie zwykłym „dzisiejszą zabawą" poznawanie tajników klawiatury tak ze wkrótce byłem w stanie zagrać jakąkolwiek usłyszaną melodię, początkowo jedną nastepnie dwiema rękami. Czasami też zamiast mojej siostry przychodziła do domu pani Kijańską kawałki na cztery ręce i w odpowiedniej chwili zatrzymywałem się uroczyście, aby przewrócić stronę, udając iż istotnie gram z nut.

Wszystko to, oczywiście, nie mogło nie zrobić odpowiedniego wrażenia na mojej rodzinie, z której — musze się do tego teraz przyznać — nikt, nie wykluczając dziadków, stryjów, ciotek, nie posiadał najmniejszych muzycznych zdolności. Początkowo ich to bawiło ale później byli ruczej zaskoczeni tak oczywistym dowodami mojego talentu. Ojciec miał słabość do skrzypiec, uważając je za instrument bardziej lodzki i wytworny od fortepianu. Był również pod wrażeniem powodzenia szeregu cudownych dzieci. To też podarował mi małe skrzypce, które szybko połamałem, za co dostałem w skórę. Później jeszcze raz usiłował przekonać mnie o w zszości szlachetnego instrumentu ka ubranego w długą czarną peleryne z nasuniętym na głowę kartuthen, stojącego na wprost willi. Muzyczny kolos nie również bez skutku. Miałem ostynkłowy pociąg do polifonii i harmonii nie zaś do cienkiego tonu skrzypiec, tak oczywiście przeznaczonych i zależnych zawsze od akompaniatora.

17-letni Rubinstein przebywa w Zakopanem w wili zamożnych przyjaciół warszawskich, Harmanów. Ich syn, Fryderyk, starszy od Rubinsteina o kilka lat, był początkującym muzykiem.

Pewnej nocy zaniepokojony dejrzanymi szmerami w ogrodzie wyjrzałem ostrożnie przez małą szparo w firankach i ujrzałem dziwną mute trzepnęła czasami rękę mojej wyrośniętą postać jakiegoś osobnika muzykę i przychodzę tu przyshuchiwać zaintrygowani tym co nam Gromadzki opowiedział i czuliśmy że jakaś wielka indywidualność wkroczyła się w nasze życie. Ale co na mnie zrobiło największe wrażenie, to reakcja Fryderyka. Nie było w nim ani śladu widocznej zazdrości jakkolwiek istnialy ku niej powodane przyczyny; nie mógł przecież nie zauważyć w takim stopniu moje muzyczne zainteresowanie dzieciaka się w kierunku nowej osoby, i szczerze dzielił mój entuzjazm.

Tego samego wieczoru napisa ten długi list do Szymanowskiego na adres podany mi przez jego przyjaciół. Wytłumaczywszy mu jakie głębokie wrażenie zrobiła na mnie jego muzyka, jaki, po długim okresie zniechęcenia, wywarła na mnie oższycy efekt, jak bardzo bliska była memu własnemu muzycznemu instynktowi. Dodałem iż chciałem tą poznania go i podzie'enia się z nim myślami. Był to jeden z najważniejszych, jeden z najbardziej żarliwych listów, jakie kiedykolwiek napisałem w życiu.

Karol Szymanowski odpowiedział na mój list krótką depeszą, zawiadamiając iż przybędzie do Zakopanego w określonym dniu, o określonej godzinie i że ma nadzieję zastania mnie tam jeszcze.

Udaliśmy się z Fryderykiem na stację, mając przy sobie jego siostrę Gromadzki i niezwykle podnieceni oczekiwaliśmy przybycia pociągu. Z kolasy wyszedł wysoki, szczupły, młody człowiek. Jeszcze w żałobie, ubrany na czarno, z rękami w kieszeniach, wyglądał dziwnie. szaro-błękitne oczy miały wyrazistość, zniekształcony i zdradzały naturę bardzo uczuciową. Szedł w naszym kierunku z lekka utykając, przywitał się ze swym przyjacielem serdecznie ale bez sneejalnej wylewności. Zawstydzał nasze gorące powitania ujmującym uprzejmym a zachowaniem jednak pewnego dystansu. Mimo zamieszkania u Gromadzkiego, Karol Szymanowski nie chciał, aby nie obsi przyszli do naszej willi na obiad. Wysłałaśmy Szymanowski czuł się podczas posiłku trochę niewswoio, krytowały go wyrażne spojrzenia mojej siostry ocrzuwne na go, jak również wykazywana przez panią Masedalene ciekawość, nołączona z zazdrością z powodu Fryderyka. Szymanowski opowiedział nam o festiwalu w Bayreuth, jednak w rzeczyśc chłodnym, dała drania własnym uczuć. Po obiedzie, pod pretekstem że musnę omówić szczegóły mego koncertu, udałem się z naszymi gośćmi do hotelu „Giewont" Gromadzki zaproszeni przy kawie i koniaku. I tutaj, na koncer, konwozytor się rozkrochmił. Powiedział mi że przyjechał do Zakopanego na skutek mego listu, że był na którymś z mych koncertów w Warszawie, że pramał bardzo pokazać mi swoje ostatnie kompozycje, i że chciałby, abym ja był ich wykonawcą. Mówił głosem miekkim i sugestywnym, oczy jego patrzyły ciepło spod gęstych brwi. W chwili tej odkrył, ku mej wielkiej radości, całą ludzką stronę swej natury. Było to na prawdę szczęśliwe spotkanie i wszystkie przyjąłem zaproszenie na spędzenie z nimi wieczoru.

Czy mam przyprowadzić Fryderyka? zapytałem.

Wotałbym nie — odpowiedział — lekka zakłopotany — o ile to się oczywiście da zrobić. Odniosłem wrażenie iż on i ja mamy mało ze sobą wspólnego — po czym dodał — zarówno w sensie muzycznym jak i osobistym.

Poczułem to już od pierwszej chwili na stacji kolejowej że będę miał z tym pewne kłopoty. Udało mi się jednak znaleźć wymówkę, aby siamena spotkać się z nimi wieczorem, przewidziałem że będą zabrać mnie do jednego z przyjaciół Szymanowskiego, młodego poetę, nesza i malarza o nazwisku Stanisław Witkiewicz, którego poznałem w „Morskim Oku" i który chce narysować mój portret. Oczywiście nie było mowy o żadnym towarzyszu, po prostu usiedliśmy i gadali popijając. Witkiewicz również zafascynował mnie od samego początku i chciałem sobie na razie sprawę że zarówno on jak i Karol i Gromadzki stanowili komunię na prawdę w moim guście. Uprzytomniłem sobie również nagle z całą wyrazistością cieplarnianą atmosfere naszej willi z jej intelektualnymi akcentami i zbyt częstymi obawami wtrącenej wewnętrzej, krępującej w sobie tych ukrytych i nierdzowych namiętności.

W towarzystwie tych trzech młodych ludzi poczułem jak gdyby powiew świeżego powietrza znalazłem się w zaciszu młodości i prawdziwej żywotności. Wkrótce stałem się wtorzyłem. Nowi przyjaciele odwodzili naszą willę bardzo ożywiona. Wkrótce stałem się wtorzyłem. Nowi przyjaciele odwodzili naszą willę bardzo ożywiona. Wkrótce zostałem się obiedzie jak kolasa. Ale po ogólnej, nieskończenie rozmowie, nasza czwórka zbierała się nacklolo fortepianu, wdawał się ze ożywioną dyskusję na temat takiego czy innego kompozytora, przy czym każdy z nas stawał się wyrazicielem swoich własnych racji. Miałem wielkie używanie potrafiąc się iż siedlkiemu, zachwycał się Szymanowskiego moją pamięcią i grałem Wagnera, Brahmsa, Skriabina ich również urywki z oper i symfonii. Fryderyk w fakich rzach jakes nie pasował do nas. Jego często dowsiępne a'e zbyt ostre i złośliwe uwagi o różnych kompozytorach i wykonawcach padały na nieurodzajną glebę; nie umiał po prostu dotrzymać do kimin naszych dyskusji. Totez stopniowo stał się coraz rzadszym gościem na naszych zebraniach. Dręcz nowa pasją okazał się młody rzeźbiarz, zapalony laternik, chłopiec bardzo przystojny i utalentowany. Fryderyk wyczuł we mnie zmiana, mimo iż osobistej zazdrości nie wykazywał subtelne zrozumienie konieczności dla mnie normalnej i zdrowej egzystencji artystycznej. Wkrótce jego matka usilnie starała się ukryć swoją niecierpliwość, spowodowaną moją częstą nieobecnością w willi, ale i ona była na tyle inteligentna, aby się wstytnio nie mieszać do moich spraw. Rozmowy nocami trwałe stale postępy tak że wkrótcbyłem przygotowany do mego koncertu jak również i na występy w Paryżu. Życie zarysowywało się w jaśniejszych barwach.

*) Fragmenty z książki „My young years", Jonathan Cape, London 1973. Przekład za zgodą autora i wydawcy.

Z Zakopanego Rubinstein wyjechał razem z Szymanowskim.

Udało się nam z Karolem znaleźć pusty przedział w pociągu tak że mogliśmy się wyciągnąć na nocz. Z chwilą jednak gdy pociąg ruszył wydarzyło się coś dziwnego zaczęłem nagle szlochać. Owładnęła mną jakaś nieopanowana potrzeba płaczu. Nie że nie byłem w stanie opanować sie przez szereg godzin. Wydawały się nagraz wszystkie nagromadzone we mnie troski jak zerwanie z Barth'em, które mnie głęboko dotknęło, obawa o przyszłość i zwiąda z ukończeniem studia mu muzycznymi, ale głównie jednak poryca odkazana na skutek nie zrozumienia urzędu „Venus'ery rodzinu Fryderyka, której nieoartrzeje mogliśmy niczym drugi Tannhäuser.

Nie zapomnę nigdy ujmującej dobroci i troskliwości Karola okazanej mi tej nocy. Nie mówiąc ani słowa podłożył mi swój płaszcz pod głowę i mówiąc mi jak z czułość ja okryl mnie jakimiś zaszetami. Będzie ci ciepłej — powiedział. Tej nocy narodziła się nasza dorgoma przyjaźń i następnego rana pożegnaliśmy się mocnym, braterskim uściskiem.

Artur Rubinstein